№ 47. Warszawa, 25 Listopada 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, NAUKOWY i LITERACKI.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Od Redakcji.

Tom pierwszy naszego dodatku bezpłatnego p. n. ***Prawo Konstytucyjne w Rosji*** *(zarys obowiązującego prawodawstwa) przez Edwarda Grabowskiego—został skonfiskowany z polecenia Komitetu do spraw prasowych.*

Redakcja naszego pisma skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 300 rb. kary za artykuł p. n. „Prawo strejku w państwie rosyjskiem”, wydrukowany w Nr. 43-cim.

Chór płaczek.

Lew Tołstoj umarł.

Była to indywidualność niezwykła, potężna i na wskroś swoista, snująca wątek myśli twórczych z nieprzebranej skarbnicy własnych przeżyć duchowych, odrębna i samorodna, jak „koło toczące się własnym rozpędem“. Rousseau XIX wieku zapragnął, jak ów poprzednik ideowy, dotrzeć do najgłębszej, pierwotnej natury człowieka, przedarłszy pancerz, wykuwany w ciągu stuleci przez zastępy myślicieli, działaczy i bojowników, pancerz wypróbowany w walkach, a zawsze jeszcze nie dosyć hartowny, tę jedyną ochronę przed naciskiem wrogich sił przyrody—kulturę. Tołstoj chciał rozbroić duszę ludzką i powołać ją do życia bezpośredniości duchowej, które wydawało mu się jedynie godnem człowieka — jak legendarny Siegfried budzi uśpioną Walkirję cięciem miecza przez pozłocistą kolczugę. A ostrze niezwyciężonego Nothunga miało zastąpić myślicielowi i poecie—słowo.

I w tem mieści się pierwsza, nieunikniona sprzeczność: słowo—ten najcenniejszy wytwór kultury, wyraz myśli wykarmionej pracą pokoleń — miało, niby syn marnotrawny, sprzeniewierzyć się twórcy swego istnienia. Miało stać się kamieniem zagradzającym pęd strumienia rozwoju dziejowego.

Światopogląd, oparty na wzniosłym, szlachetnym—paradoksie, nie mógł ustrzec się zasadniczych sprzeczności, aż nadto wyraźnych przy zestawieniu zarówno dzieł poszczególnych, jako też twórczości Tołstoja z jego życiem.

I stać się musiało, że surowy krytyk objawienia—uznał za konieczny postulat rozumu fakt istnienia Boga („Myśli o Bogu“); że człowiek, głoszący zasadę powrotu czy zbliżenia do natury, jako najwyższej formy bytu,—zalecał absolutną wstrzemięźliwość płciową („Sonata Kreutzera”, „Kwestja płciowa”); że znakomity artysta, twórca „Anny Kareniny“, „Wojny i pokoju”, przepysznych nowel, — zwalczał zaciekle sztukę wogóle, opierając się na fachowem niemal znawstwie historji estetyki („Czem jest sztuka?“); że wyznawca ewangelicznego nakazu „niesprzeciwiania się złu“—siał mimo swej woli pierwsze ziarna dążeń opornych w duszach tysięcy ludzi. I stać się musiało dalej, że najszczerszy chrześcianin naszej epoki został obłożony klątwą przez Kościół panujący; że, wreszcie, najgorętszy rzecznik abolucjonizmu był skrępowany przy wprowadzaniu w życie nakazu ubóstwa przez—swą najbliższą rodzinę, przez żonę i dzieci...

Nie tu miejsce na wyczerpującą ocenę działal

ności Tołstoja, a może i nie czas jeszcze po temu—nad świeżą mogiłą, która niewątpliwie kryje zwłok śmiertelny jednego z największych ludzi epoki. Fakt śmierci narzuca konieczność skupienia się w milczeniu—choćby na chwilę. Szczególnie wówczas, gdy zgasła indywidualność potężna, o której wieki dalekie wspominać będą. Im też należy pozostawić sąd rozstrzygający. „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht".

* * *

Obowiązek dziennikarski nie pozwala milczeć. Na targowisku ludzkiem zważone zostało słowo, i naznaczono nań cenę. Stosunek podaży do popytu rozpowszechnił i w tej dziedzinie zasadę wytwórcy kapitalistycznego: aby najtaniej! I oto setki wynędzniałych najemników zginają karki nad biurkami redakcyjnemi. Ci, którzy sprzedają myśli swoje, nie mają czasu ni możności na to, aby je produkować. Ale pisać muszą—i to jaknajprędzej, bo trzeba koniecznie uprzedzić innych. Pisze się więc—nie myśląc.

Umarł człowiek znakomity. Biedny dziennikarz słyszał o nim coś nie coś, czytał nawet kiedyś parę jego książek—ale to było tak dawno... Zresztą nawet wówczas nie miał czasu przetrawić przeczytanych utworów, bo zawsze coś goniło... Redaktor kazał pisać nekrolog. Encyklopedja jest pod ręką: życiorys, dzieła, króciutkie streszczenia — żeby choć parę dni czasu... ale praca nagli, artykuł musi pójść do najbliższego numeru.

W taki sposób powstają szablonowe nekrologi, któremi karmi nas prasa codzienna. Był sławny—więc należy go chwalić. Pisze się sążniste artykuły, które, będąc w założeniu produktem absolutnej ignorancji i karygodnej bezkrytyczności, stają się w istocie pomnikiem *obłudy*.

Apoteozują działalność Tołstoja ci sami ludzie, którzy w poglądach swoich i w życiu zaprzeczają na każdym kroku jego teorjom. Ci, którzy piszą za pieniądze to, co im każe chlebodawca; którzy wysługują się przesądom mieszczaństwa zachowawczego czy „postępowego". Jakąż zniewagą dla czystego cienia Tołstoja jest pienie pochwalne dziennikarza, który ma na sprzedaż pióro i przekonania!

Przypomina mi się jedna scena ze „Zmartwychwstania". Kilka osób, zgromadzonych w wytwornym gabinecie po spożyciu sutego obiadu, prowadzi rozmowę towarzyską; mówią o stosunkach społecznych w tonie szlachetnego humanitaryzmu, mówią jednak—jak dodaje autor — tylko z tej przyczyny, że koniecznością fizjologiczną jest ruszać mięśniami twarzy po obfitym posiłku...

Uprzytomnijmy sobie wreszcie punkt najważniejszy: taką jest *prawda przekonaniowa*, głoszona przez prasę mieszczańską. Ta sama szczerość cechuje wszystkie niemal jej enuncjacje. Tylko potęga może zasłużyć na jej uznanie. Chorągiewka przekonań zwraca się zawsze wkierunku najsilniejszego wiatru. Gdyby Tołstoj nie był sławą wszechświatową, poprzestanoby na nazwaniu go fantastą i marzycielem.

Dla ludzi, stojących na stanowisku rzeczywistych interesów masy ludowej, istnieje jedno tylko kryterjum: czy działalność danej jednostki przyspiesza konieczny rozwój dziejowy. I podobnie jak filozofja Rousseau pozostała w historji jako szlachetne dziwactwo epoki naradzania się pozytywizmu, tak samo działalność Tołstoja przetrwa wieki jako podniosłe curiosum epoki walki o prawo mas do pełnego życia.

J. M. Muszkowski.

O parjasach dziennikarstwa.

Dziennikarze rosyjscy, pracujący w obydwu stolicach Cesarstwa, jako też w paru większych ośrodkach kulturalnych (Kijów, Odesa, Charków) znajdują się w dobrych, czasem nawet świetnych warunkach materjalnych. Mam na myśli oczywiście tych wybrańców losu, którzy należą do stałych współpracowników większych organów prasy. Nie mówiąc już o pismach urzędowych i półurzędowych, jak „Rossija" i „Nowoje Wremia", wszystkie większe pisma rosyjskie płacą swym współpracownikom honorarja, o jakich polskim dziennikarzom ani się śniło.

Prawda, że w chwili obecnej w stolicach spotkać można sporą liczbę literatów, dotkniętych bezrobociem, są to jednak przeważnie ofiary polityki „przywrócenia spokoju", t. j. byli pracownicy pism zawieszonych przez władze, ludzie, dla których przy warunkach normalnych znalazłaby się zawsze praca. Naogół więc dziennikarze stołeczni mają zapewnione nietylko existenz - minimum, lecz najczęściej dobrobyt.

Całkiem odmiennie przedstawia się stan ekonomiczny dziennikarzy prowincjonalnych. O warunkach ich życia informują nas dane statystyczne, będące wynikiem ankiety przeprowadzonej przez dziennikarza z Samary p. F. Lebiediewa*).

Charakterystyczną cechą bytu literatów prowincjonalnych jest stałe tułactwo, na które są skazani. Wspomniana ankieta wykazała, iż współpracownik gazety na prowincji mieszka w jednem mieście przeciętnie 2 lata i 9 miesięcy. Najczęściej zmieniają miejsce pobytu kierownicy polityczni (przeciętnie co dwa lata). Elementem najbardziej stałym są reporterzy: pobyt ich w jednem mieście trwa 4 lata i dwa miesiące. 21,15% dziennikarzy przebywa w jednem mieście w ciągu 1 roku, 21,15%—w ciągu 1—2 lat, i zaledwie 24,04% więcej niż 4 lata. Dodać należy, że większość (65%) dziennikarzy — posiada rodziny.

Taka włóczęga, stwarzając ogromne niewygody dla samych dziennikarzy, jednocześnie wpływa ujemnie na stan gazet prowincjonalnych. Trudno jest przy ciągłej zmianie współpracowników dobrać koło redakcyjne, złożone z ludzi o jednakich przekonaniach polityczno-społecznych, t. j. nadać pismu określony kierunek. Z drugiej strony, omawianie potrzeb miejscowych, stanowiące jedno z głównych zadań prasy prowincjonalnej, nie może być dokonane skutecznie przez najzdolniejszego publicystę, o ile przebywa w danej miejscowości przez jakieś 2 lata, a więc życia i warunków miejscowych gruntownie znać nie może.

Przyczyny, którym zawdzięczać należy to mimowolne zamiłowanie do podróży, dzielą się na 4 kategorje. Dwie pierwsze nie są zależne ani od redakcji, ani od dziennikarzy; są to prześladowania administracyjne, skierowane przeciwko danej osobie (29,73% wy-

*) Oto jest wykaz miast, w których wychodzą objęte przez ankietę gazety: Archangielsk, Błagowieszczeńsk (nad Amurem), Burułuk, Carycyn, Charbin, Czelabinsk, Czita, Ekaterinodar, Iwanowo—Wozniesiensk, Kazań, Kijów, Kiercz, Kozłów, Kostroma, Mińsk, Odesa, Omsk, Orenburg, Saratów, Simbirsk, Stawropol, Symferopol, Tambow, Taszkient, Troick, Tyflis i Wierchnieuralsk.

padków) i zawieszenie pism (31,04%). Trzecią kategorję stanowią zatargi redakcyjne (19,54%) i czwartą—poszukiwanie lepszych warunków pracy (19.59%).

A że warunki pracy dziennikarskiej na prowincji nie są słodkie, wskazują następujące cyfry.

Przeciętny zarobek publicysty prowincjonalnego wynosi 72 r. miesięcznie. Cyfra ta nie jest zbyt mała, jeżeli da się ją zastosować do większości dziennikarzy. Ale niestety — wchodzi tu w grę maximum i minimum płacy. Otóż maximum stanowi 400 rb., średnia wspomniana cyfra 72 rb., zaś minimum... mniej niż 30 rub., t. j. mniej niż zarobek niewykwalifikowanego robotnika.

Ale ci „minimalni" i „średni" dziennikarze stanowią bezsprzecznie większość.

Więcej niż 100 rubli zarabia zaledwie 23,31% dziennikarzy prowincjonalnych; od 50 do 100—41,35% od 30 do 50—19,55% i mniej niż 30—15,79%.

Najwięcej się przyczyniają do obniżenia zarobku dziennikarzy prowincjonalnych t. zw. biura prasy, powstałe od niedawna w Petersburgu. Dowcipny przedsiębiorca angażuje paru literatów „z nazwiskami" i wysyła ich artykuły jednocześnie do kilkudziesięciu pism prowincjonalnych. W rezultacie, pisma te mają artykuły wstępne i feljetony, robione w stolicy za—1 kopiejkę od wiersza. Ma się rozumieć, że taki sposób wypełniania gazety stwarza z niej lichą podobiznę pism stołecznych i pozbawia zarobku siły literackie miejscowe. Co gorsza, życie prowincjonalne pozostaje absolutnie bez oświetlenia, jeżeli nie liczyć kroniki wypadków.

Obecnie dziennikarze prowincjonalni mają zamiar reagować na tak nienormalne warunki pracy. Konkretnie to się wyraziło w rezolucji zjazdu literatów, złożonego przeważnie z pracowników prowincjonalnych, wypowiadającej się za zorganizowaniem zawodowego związku pisarzy.

Wielki już czas, żeby proletarjat literacki w Rosji zrozumiał swe stanowisko i przyjął środki walki o poprawę bytu stosowane oddawna w Europie Zachodniej.

Adam S-ski.

Dziennik rekonwalescencji.

Z powodu dzieł Stanisława Brzozowskiego „Legenda Młodej Polski" i „Idee".

(Dalszy ciąg).

IV.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach ideał p. Brzozowskiego. Nie można powiedzieć, aby był wyraźny.

Przedewszystkiem, czem jest ów organizm polskiej samorządnej pracy? Ma to być organizm, skupiający w sobie wszystkie drgnienia woli polskiej, posiadający organy woli pracującego ludu polskiego. Musi więc to być zjednoczona Polska niepodległa. Czytelnik, znający to stanowisko, jakie zajmują w dziedzinie kwestji narodowej L. Krzywicki, Otto Bauer, Szprynger, może pomyśleć, że autor jest zwolennikiem zasady personalnej w sprawie rozstrzygnięcia problematu narodowego: tem bardziej, że w „Legendzie" miejscami wyczuwa się zrozumienie wadliwości zasady terytorjalnej.

Takie tłumaczenie poglądów p. Brzozowskiego byłoby jednak błędne, gdyż w najbardziej zasadniczych ustępach swych prac ujawnia on wprost niezdolność do odróżnienia pojęć „państwo" i „naród."

Więc mamy do czynienia z niepodległem państwem polskiem. Nie będę tu analizował tego ideału; w ciągu bowiem lat ostatnich marksiści polscy obu stronnictw robotniczych niejednokrotnie udowodniali, że nie leży on na linji dziejowego rozwoju; podzielając najzupełniej to zdanie, nie potrzebuję powtarzać tu ich argumentów. Interesuje mnie, natomiast, co p. Brzozowski rozumie pod niepodległą Polską pracy; czy ma być to Polska socjalistyczna — ideał pewnego odłamu patrjotów polskich?

Bynajmniej: p. Brzozowski pisze o socjalizmie, co następuje: „to, co uchodzi za socjalizm, jest punktem widzenia ludzi, którzy usiłują wydrzeć kierownictwo wytwórczością z rąk kapitalistów po to tylko, by poddać ją kierownictwu niekompetentnej ekonomicznie

Zygmunt Kisielewski.

ŚWITY.

11)

— I przeto wszem wobec i każdemu z osobna ogłaszam oraz przypominam pierwszy paragraf, a raczej pierwsze i bezwzględnie każdego, bez różnicy stanu, płci i religji obowiązujące przykazanie, nietykalne i przez cały świat pijacki uznane. A mianowicie: byś zaś językiem sprośnym a do wszeteczeństwa łaceniej nakłonnym przy kielichu, niźli w stanie trzeźwym, pijanico, brata czyli siostry swej honoru i sławy nie obraził, wystrzegaj się prowadzenia wszelkich dyskursów, któreby cię z drogi wesela i radości snadnie ku gniewowi oraz innemu zaburzeniu krwie przywieść mogły. Zakazuje się przeto wymawianie słów: partja, dyskusja, agitacja, P. P. S., S. D. K. P. i L., P. P. P., N. D., oraz reszty niewyliczonych liter alfabetu. Takoż zazakazuje się wspominanie niebezpiecznych dla spokoju nazwisk, a mianowicie: Marx, Nietzsche, Bebel, Daszyński i Dmowski. Ergo bibamus. Dixi.

Perora Reszyńskiego istotnie uśmierzyła roznamiętnienie towarzystwa, zwracając uwagę obecnych w kierunku bardziej chwili odpowiednim. Ugrupowanie zebranych zmieniło się. Zgliński z Reginą i jakimś starszym jegomościem przeszli do pokoju głównego i zmięszali się z innemi. Gromadka dysputantów pod batutą Bartkiewicza rozsypała się, podobnie jak i słuchacze Reszyńskiego. Bawiono się, pito, rozpoczął się flirt, prześmiechy i kpiny.

Regina co trochę zmieniała miejsce. Zaznajomiona z paru osobami przez Sarneckiego i Zglińskiego, lawirowała pośród zebranych. Mężczyźni obserwowali ją zapalczywie, niektórzy natrętnie. Ona, jaśniejąc urodą i gustownym strojem, przechadzała się śród nich lekko i swobodnie. Czasem śmielszy, jak Bartkiewicz, podejmował z nią rozmowę. Ona rozmawiała chętnie, uśmiechała się zalotnie, słuchając komplementów, jakiemi Bartkiewicz szpikował rozmowę. Nie zatrzymywała się jednak długo i przechodziła do innych, jakgdyby sondowała sytuację. Była rozbawiona. Oczy jej śmiały się, a wino rozgrzało krew, nadając wyrazowi twarzy odcień pewności siebie, kokietującej i zarazem trzymającej z daleka. Tylko kobiety, znajdujące się w towarzystwie, przeszywały ją spojrzeniami niechętnemi.

inteligencji"... „Ten socjalizm obchodzi mię tylko, jako grożące narodowi naszemu niebezpieczeństwo, jako czynnik straszliwego uwstecznienia młodych umysłów naszego kraju, ten socjalizm jest tylko chorobą duszy i wrogiem, z którym walkę filozoficzną rozpocząłem już w 1904 r. i prowadzić będę bez wytchnienia."

A więc p. Brzozowski jest wrogiem socjalizmu. Przedstawia on go sobie jako dyktaturę inteligencji, jeszcze gorzej wyzyskującej klasę robotniczą, niż dziś panująca klasa kapitalistów. U nas bardzo często się słyszy tego rodzaju bajeczkę. Dawniej kolportowali ją różnych kategorji zwolennicy obozu zachowawczego. Od lat kilku zaś szerzy się ona w przetłumaczonych na język polski utworach rowolucjonisty Wacława Mochajskiego, który usiłuje udowodnić drogą sztucznie skleconej analizy naukowej, jakoby socjalizm był ideologją burżuazyjnej inteligencji. Podobne poglądy w mniej opracowanej i bardziej połowicznej formie wypowiada też mistrz p. Brzozowskiego — J. Sorel i inni teoretycy tego kierunku. Wszyscy szczerzy wyznawcy wypowiedzianego tu przez p. Brzozowskiego poglądu popełniają błąd zasadniczy.

Nie rozumieją oni, i dzięki wadliwości swej metody nie są w stanie zrozumieć, że z światopoglądu marksistowskiego wynika, iż, pod wpływem rozwoju sił wytwórczych i układających się na ich podłożu stosunków wytwórczych w szeregach klasy robotniczej powstają: ideał socjalizmu, dążenie do jego urzeczywistnienia i niezbędne w tym kierunku zdolności, że przewrót socjalistyczny może być tylko dziełem tej klasy, i rozpocznie okres, w którym sami pracujący będą gospodarzami swej pracy i swego losu. Jednocześnie z tem, też wskutek niezdolności rozpatrywania zjawisk w ich rozwoju, opacznie tłumaczą oni rolę inteligencji. Nie stanowi ona odrębnej klasy społecznej. Dziś niemal powszechnie jest ona jeszcze bliższa w swych interesach i dążeniach do klas posiadających, lecz rozwój kapitalizmu i wzrost podaży pracy umysłowej wciąż bardziej spycha ją w szeregi proletarjatu. Gdyby zaś p. Brzozowski chciał zgłębić marksizm — w danym wypadku — stosunek Marksa do sprawy wpowadzenia w życie przyszłego ustroju społecznego i zajrzał w tym celu chociażby do jego „Wojny Domowej" i Nędzy Filozofji", toby się przekonał, jak daleki jest ideał przyszłości marksistów od tego wzoru, jaki on sobie stworzył.

Coprawda p. Brzozowski w niektórych rozdziałach swych dzieł nadmienia, że uważa za możliwe przejście produkcji w ręce robotników i że widzi jedyny środek ku temu w rozwoju kooperatywów. Lecz tylko nadmienia i to bardzo niewyraźnie i ogólnikowo; nie rozpatruje zaś tego przyszłego ustroju, jako zrealizowania zasad socjalizmu, wtedy, gdy piętnuje socjalizm zupełnie wyraźnie i nie dwuznacznie. Tymczasem w kooperatywach widzą dziś środek na wszystkie dolegliwości społeczne nawet zacofane stronnictwa polityczne. To też owe komunały nie uprawniają nas bynajmniej do posądzenia p. Brzozowskiego o sympatje dla socjalizmu.

Jeśli więc niepodległa Polska pracy nie jest to Polska socjalistyczna, to może można ją uważać za wynik zrealizowania dążeń syndykalistów? Bynajmniej. Jak wiadomo teoretycy syndykalizmu w istnieniu państw widzą źródło cierpień klasy robotniczej, a wszelkie dążenia narodowe uważają za sprzeczne z jej interesami; czego liczne dowody składa Sorel, zwykle przeciwstawiany przez wcale nierozumiejących go naszych postępowców „beznarodowym" marksistom.

Ależ—mogą nam powiedzieć — u Brzozowskiego niepodległa Polska pracy to tylko — mit. Pojęcie zaś *mitu* określa autor, jak twierdzi wślad za Sorelem, jako „epopeę walki i zwycięstwa — taką postać działania, w której nasze twórcze, wynalazcze dążenia posiadałyby moc istnienia wobec świata... zestawiając siebie z nim, myśląc o sobie w jego kategorjach, wychowujemy siebie dla zwycięztwa..." „jest on niezbędnym,— pisze w innem miejscu, — dla każdej akcji zbiorowej."

Sorel jednak nieco wyraźniej wyjaśnia to pojęcie. Uważa on mit za środek wychowawczy i ekscytatywny i uznaje za niezbędny, niezależnie od tego, czy zawarty w nim ideał jest ziszczalny lub też nie; ilustrując swą myśl, przytacza jako przykład mit chrześcijański o katastrofie we wszechświecie.

Lecz syndykaliści, przeciwstawiający pojęciu narodu pojęcie klasy, mogą uznać jedynie mit, zawierający w sobie ideał treści klasowej, nie zaś narodowej,

---

Wyjątek stanowiła Szczęśnicka, która swemi rozumnemi oczami spoglądała na Reginę z zainteresowaniem. Regina przysiadła się do niej.

— Więc pani nie do roboty?—pytała Szczęśnicka.

— Nie mam nawet wyobrażenia o tych sprawach.

— Takie się pani te „sprawy" wydają trudne?

— Zapewne. Czy ja zresztą wiem? Bardzo tu przyjemnie, wesoło, swobodnie. Dla takiej panny wiejskiej, jak ja, rzeczy dziwne.

— Strasznych ludzi pani tutaj poznała, prawda?— ironizowała dobrotliwie Szczęśnicka.

— Strasznych — nie jestem bojaźliwa. Tylko źli czegoś, czy posępni. O ten, widzi pani, z brodziskiem. Chodzi poważnie, patrzy surowo...

Szczęśnicka wybuchnęła śmiechem.

— Śmigła, podejdźcie na chwilę.—Śmigielski zbliżył się i stanął, jak posąg.—Panna Jasińska twierdzi, że jesteście okropnie surowi i poważni.—Śmigielski zmięszał się.

— Tak? a wy co powiadacie?

— Zgadzam się naturalnie. — Śmigielski nie wiedział, jak się ma zachować, gładził więc zaciekle brodę. Po chwili nachylił się i z boku, podejrzliwie zerkając na Reginę, szepnął Szczęśnickiej: Wiecie, z Sarneckim kiepsko. Ma podobno dzisiaj jechać, a już jest pijany. Siedzi ze Zglińskim, kłócą się i piją. Trzebaby go....

— Cóż ja na to poradzę?— odpowiedziała głośno Szczęśnicka.

— Co się stało?—zapytała Regina.

— Śmigielski się rozczulą, że się Sarnecki upił.— Ale naprawdę, możeby go tu w jakiś sposób znęcić— Szcześnika spojrzała na Reginę przelotnie, ale wnikliwie.

— Słabą ma głowę, biedak— powiedziała Regina·

— Tak, tak — Szczęśnicka bębniła niecierpliwie palcami po stole—tak, tak.

— O idzie, widzicie—Śmigielski chwycił raptownie Szczęśnicką za rękę.

Szczęśnicka rozgniewała się.

— Krzyczycie, jakby bomba pękła.

— Zawołajcie go, on z wami chętnie posiedzi.

— Nie mam po co wołać, widzicie przecie, że idzie do nas.

Sarnecki istotnie balansował z drugiego końca pokoju. Spostrzegłszy Szczęśnicką w towarzystwie Reginy i Śmigielskiego, skierował się do nich, uśmiechając się i z daleka już wymachując rękami

tylko taki, któryby współdziałał roznieceniu antagonizmu klasowego.

P. Brzozowski zaś, nazywający Sorela swym mistrzem, postępuje wręcz przeciwnie: za środek wychowania „heroicznej woli" ludu pracującego polskiego uważa on postulat niepodległej Polski, rozpatrując go jako mit.

Nie ulega wątpliwości, że takie stanowisko musi być uważane za szkodliwe i z punktu widzenia patrjotów i z punktu widzenia syndykalistów, oraz zwolenników międzynarodowego socjalizmu. Z jednej strony bowiem realny postulat polityczny patrjotów polskich przenosi się w krainę nieziszczalnych ideałów, z drugiej znów mit tego rodzaju prowadzi w swem następstwie do złagodzenia antagonizmu klasowego, jest on środkiem stałej walki z tym antagonizmem.

Jaki jest sam ideał p. Brzozowskiego, o tem świadczą następujące ustępy z „Idei": „Mówię wyraźnie, że przez dziesiątki pokoleń będzie jeszcze jedynem zwycięztwem polskich robotników to tylko, że przyszłość swego narodu tworzą, że obiecują im wielkość narodu, nie zaś szczęście własne, że wreszcie nie jest godną człowieka rzeczą oglądać się za innym sprawdzianem prócz tego, iż pozostawiamy w życiu posiew, któremu wola nasza po przez potok śmierci przytwierdza"... „*Przedewszystkiem zaś wiem, że mamy bronić samego zagrożonego bytu narodowego,* bo jego istnienie i moc jest jedyną rękojmią, że wola nasza wogóle jest czemś wobec tych potęg, co stanowią, czem ma być człowiek i ten świat, którego jest on odpowiedzialnym współtwórcą... Jestem dziś we wszystkich partjach, o ile tak samoistność naszą potęgują i wychowują; jestem przeciwko wszystkim partjom, o ile zwracają się przeciwko tak wytkniętym zasadom." W innem znów miejscu „Idei" czytamy: „Bez wytchnienia będę pracował nad stworzeniem w umysłach, chcących się wraz ze mną uczyć, dążenia do pracy nad potęgowaniem samoistnej kompetencji życiowej, ekonomicznej i narodowej u wszystkich, chcących pracować polaków. Katolicyzm jest jednym z najszerzej i najgłębiej sięgających organów wychowawczej woli polskiej; każda wiara, która istnieje w jakimś narodzie, jest zawsze organem duszy tego narodu; ja ani nie zwalczam, ani nie popieram katolicyzmu, lecz tylko chcę, aby dźwigała się z nas rzetelna wola polska, a nie miałkie zadowolenie z siebie rozmaitych grup polskich".

P. Brzozowskiego zatem interesuje klasa robotnicza jedynie jako siła, która zdolną jest do wyzwolenia narodu; uwzględnia on jej interesy klasowe, lecz podporządkowuje interesom ogólno-narodowym.

Ponieważ zaś społeczeństwo nasze, jak i wszystkie inne, dzieli się na rozmaite grupy społeczne, a programy rozmaitych stronnictw są realnym wyrazem dążeń tych grup w obecnym momencie historycznym, przeto nie zgrzeszę ani wobec samego p. Brzozowskiego, ani wobec wymągań objektywnej analizy jego poglądów, gdy wskażę, jakiego stronnictwa ideałom odpowiadają ideały społeczne p. Brzozowskiego.

Przeciwnie, uważam to za obowiązek; gdybym tego nie uczynił, wypełniłbym wzięte na się zadanie nader jednostronnie.

K. Zalewski. (Dok. nast.).

— Pozwolicie?—pytał.

— Naturalnie, siadajcie. Ładnie, ładnie, ma wyjeżdżać i nie znalazł czasu, aby pomówić ze starą znajomą.

— Tak, to prawda, ale nie w tem rzecz. Widzicie, niewiasto, rozmawiałem właśnie ze Zglińskim. Dziwna rzecz; z takiemi ludźmi przegadasz pół życia i nic, wal pięścią w kamień.—Ja sobie, widzicie, życie tak wyobrażam: z nieskończoności idą długie mosty nad morzem—cudne mosty, marmurowe, białe. Morze—morze.... Nigdy nie byłem nad morzem, ale jakbym je widział. Nieobjęte okiem, w dal płynące masy szafirowej wody wzdymają się, podnoszą — zielone grzebienie fal, pyszne, rozhukane, wyjące, pędzą, jak konnica w złotych hełmach do ataku, skaczą i nikną w głębinach, i znowu się wynurzają, teraz purpurowe od słońca—sadzą z hukiem w dal. Morze! — Widzieliście je, niewiasto? Albo znowu ciche jak różowe dziecko we śnie, uśmiechnięte. Widzieliście morze, niewiasto? Dzisiaj cały dzień śni mi się morze.

— Widziałam.

— Szczęśliwa!—takie jest morze?

— No—mniej więcej.

— Otóż morze, przerznięte pasem mostów. Mosty na potężnych słupach—jeden za drugim, w pewnych odstępach – powiązane między sobą linami, sznurami. Człowiek idzie mostem, wędruje dokądś, spokojnie, pewnie, bezpiecznie. Nagle most się urywa — w dole morze, w dali most następny, ale wejś nań można tylko po linie. Wielu, zobaczywszy morze pod nogami, a jedyną drogę przed sobą, po linie, widząc z fal wyszczerzone paszcze potworów, czyhających na jadło, zobaczywszy, ilu z okrzykiem spada bez ratunku — cofają się. Budują sobie namioty na moście i żyją sobie, właśnie, żyją sobie spokojnie, grzecznie, pokornie. Ale bywają tacy, którzy nie chcą żyć sobie w tych namiotach,—choćbyście im ręce i nogi skuli, chociażbyście ich ćwiartowali, nie chcą żyć sobie w tych namiotach. Szarpie niemi wrodzona im tęsknota, aby wejść na ten most następny, a potem dalszy, i znowu. Życie inne nie istnieje dla takich zatraceńców. Przechodzić granicę dozwoloną rozsądkiem jest dla nich pożywieniem, bez którego umierają.

— To i szczęście, że są tacy—przerwała Szczęśnicka.

— A on, wiecie, on mówi: niechaj rozsądnie pomyślą. Po co lecieć na złamanie karku, jeżeli można wygodnie, za biletem, przestransportować się na okrę-

FELJETON.

Nowelka.

Kiedy w mieście Ulęgały zmarła ośmnasta osoba dorosła na ospę, zebrała się na posiedzenie wysadzona przed miesiącem komisja sanitarna. Na stole stał kałamarz z atramentem, a przez szybę w oknie patrzał do wnętrza pokoju młodszy strażnik i głupi Chaim, osobliwość miasta, bo łykał żywe pająki i karaluchy, których mu dostarczali chłopcy bez różnicy wyznania zarówno z chederu, jak i szkoły miejscowej, obecnie z powodu epidemji nieczynnej. Szkoła była nieczynna, bo nauczyciel umarł przed tygodniem, zaraziwszy się od własnego syna; a przy stole z kałamarzem siedziało osób pięć: siedział starszy pisarz monopolowy, kolega szkolny wojskowego felczera z miasta gubernialnego Ufy; siedział organista w zastępstwie wyższej władzy kościelnej; dalej — z ramienia społeczeństwa był obecny właściciel niewielkiej fabryki musztardy, ale bardzo uczciwy człowiek, i półurzędowy telegrafista, któremu żona powiła przed tygodniem bliźnięta. — Bliźnięta — dwie dziewczyny, jak rydze, chociaż matka słabowita i nerwowa. — Miał być jeszcze aptekarz, ale pojechał na polowanie do pana Jaworskiego, u którego się kawior łyżkami jada.

— Panowie, zagaił posiedzenie pisarz, — wiadomo, życie ciężkie, kartofle podrożały, a dochody małe. Przytem, jak wiadomo, ludzie umierają na cholerę.

— Na ospę, — poprawił wysadzony z ramienia społeczeństwa właściciel fabryki musztardy.

— Ludzie umierają na cholerę, — powtórzył pisarz monopowy, uderzając ręką w papier, opatrzony pieczęcią.

— Na cholerę, — powiedział spiesznie organista, dając znak fabrykantowi musztardy, by nie oponował.

— I tak, musimy odłożyć na bok nasze osobiste poglądy i uprzedzenia i radzić o rzeczy.

— O rzeczy, o rzeczy, — przytakiwał organista i szepnął do ucha wysadzonemu z ramienia: „Nie drażnić, nie drażnić, kochany panie".

Zapanowała cisza, którą przerwało na chwilę szamotanie się za oknem młodszego strażnika z pożerającym żywe pająki Chaimem.

— Więc proszę zebranych, aby wyrazili opinję: czy należy stłumić cholerę, czy należy, że tak powiem— „usmirit" zarazę, czy też cholera ma nadal niepokoić spokojnych mieszkańców Ulęgał?

— W kwestji formalnej, — rzekł telegrafista. Żona moja powiła przed tygodniem bliźnięta. Dwie dziewczyny, jak rydze.

— Ależ panie... My o cholerze.

— Wiem, to też ja właśnie...

— Przepraszam... Musimy wyraźnie odpowiedzieć sobie...

Tymczasem organista szeptał fabrykantowi musztardy do ucha:

— Ależ ospa, święta prawda. Ale papier, — rozumie pan, papier. Zobaczysz pan: zrobi się kompromisowo: zaraza. Tylko się nie gorączkować. Spokojnie...

— Zapytuję więc, — ciągnął telegrafista, — jak osoba nerwowa i słabowita mogła podczas strasznej epidemji urodzić dwie dziewczyny, jak rydze, — i jeśli się tak stało, czy z sumy, wyasygnowanej na walkę z epidemją nie należałoby rączej..

— Odbieram panu głos. Dopóki ja, jako przewodniczący, nie powiem sam o tych czterdziestu sześciu rublach, panu o nich wiedzieć nie wolno. — Nie wolno!.. — Mnie idzie o zasadę: czy należy stłumić cholerę czy nie?

— Niema jej przecież.

— Jest.

— Niema! — Ja znam nasz kraj i jego społeczno-ekonomiczne potrzeby. Tu żył mój pradziad, dziad, ojciec — ja jestem z ramienia społeczeństwa. Ja moralnie odpowiadam.

Organista blady i wystraszony ciągnie go za klapę, a ten wali całą prawdę, — trudno, — fabryczka niewielka, ale porządny człowiek i z wyboru.

— Ośmnaście dorosłych osób zmarło w Ulęgałach na ospę. Naaa ooossspę... Mam świadków. Musimy zwalczać to, co jest, a nie to, czego niema.

---

cie, który sobie drwi z morza. Kto tak mówi, dowodzi, że albo nie zrozumiał życia, albo że sobie zamieszkał.

Sarnecki wpijał się spojrzeniem w Szczęśnicką, jakby w jej oczach było wypisane to, co on na głos tylko powtarza. Od czasu do czasu nerwowo targał włosy na głowie.

— Niech go tam zresztą jasne pioruny! Zawsze miałem śmieszną manję nawracania innych na swoją religję. Ale patrzę, proszę was, dzisiaj, a dzisiaj dobrze widzę i szukam tutaj, zapuszczam sieci. Czasami nietylko jednostki ale całe narody zwijają namioty, pod któremi sobie mieszkały. Ogarnia je radosne parcie naprzód, na most następny. Otóż całe narody gromadzą się na pielgrzymkę; tysiące toną, reszta drapie się po trupach. A teraz ponoś nadchodzi taka chwila. Więc patrzę i szukam tych, którzy gotowi są iść pierwsi. Jak ich mało, jak ich mało, jak ich tutaj prawie niema. A godzina może uderzyć, a jeśli dzwon zadzwoni—! To jest zagadka, to jest tajemnica, która gryzie. Czyżby można okrętem?—nie można!

Gdzież więc są ci, pytam się. Jednego, dwuch uważałem — o, ten skupiony, małomówny, Łubieński, znacie go? — Widzę go pierwszy raz — i może ten mały, chudy, co się pieni i wiecznie krzyczy: burżuazja i proletarjat! Ale my gdzie, gdzież to my jesteśmy gdzie ja jestem?

Tymczasem zebrało się całe niemal towarzystwo, zwabione uwagą, z jaką Szczęśnicka, Śmigielski i Regina przysłuchiwali się przemowie Sarneckiego. Sarnecki zajęty swemi myślami nie spostrzegł w pierwszej chwili, że ma tyłu słuczaczów. Stan podniecenia, w jakiem przepędził cały dzień, osłabnąwszy zrazu, później wybuchnął z nową siłą. Wrażenia odciskały się w duszy z dokładnością wyjątkową, kondensowały się i nabierały tęgości niemal dotykalnej. Męka mięszała się z radością, której doznaje człowiek obejmujący w danej chwili jasno prawdę swoją.

Szczęśnicka czekała tylko na sposobność, aby myślom Sarneckiego nadać inny kierunek. Właśnie Sarnecki zamilknął.

— Zapominacie o tem, że macie za godzinę wyjeżdżać. Ochłódźcie się—powiedziała z dobrocią.

— Owszem, doskonale pamiętam, jak nigdy!

— Nie przerywajcie mu, niewiasto. Już musi swoje wygadać, to trudno—zaprotestował Reszyński.

Sarnecki teraz dopiero zauważył, że mu się wszyscy przysłuchują. (D. c. n.).

Pisarz monopolowy nie uniósł się,—przeciwnie,— z uśmiechem pobłażliwym wysłuchał przemowy,—z uśmiechem rozłożył papier i wskazując lekko drżącym palcem drugi wiersz od góry, przesylabizował:

— Cho—le—ra.

— A gdyby tak — odezwał się organista — nie mówiąc wyraźnie, nazwać ją — zarazą. — To nawet zgodniejsze z duchem państwowego języka i prawem kanonicznem. Cholera jest poniekąd przekleństwem, używają go ludzie w chwilach uniesienia, żywioł niespokojny, bunt, socjalizm. Zaraza i w modlitwie i w nabożeństwie...

— A moja żona, która jak panom wiadomo, powiła mi...

— Ależ odstań że pan... Ha, — zaraza... Niech będzie zaraza... Czemu nie?...

— I weterynarz w raportach do powiatu pisze: tyle i tyle świń padło od zarazy.

Wniesiono herbatę. Obrady przerwano; ale pomimo zawieszenia wysadzonego posiedzenia, członek każdy działał na swoją rękę. Telegrafista o rydzach, organista o nabożeństwie dla wypłoszenia zarazy, przewodniczący o drożyznie kartofli. Tylko jeden fabrykant musztardy stał jak mur: zarazę szerzy woda, wody nie zarażonej ospą w Ulęgałach niema, więc należy wywiercić studnię w miejscu odpowiedniem, zdala od nieczystości, jednem słowem, przed jego fabryczką. On, jako znający miejscowe stosunki, bierze na siebie pieczę nad studnią zupełnie bezinteresownie. Górną wodę brać będzie do musztardy, bo gorczyca przegryza zarazę, resztę oddawać będzie sprawiedliwie mieszkańcom Ulęgał.

Obrady toczyły się długo, a protokuł głosił (w streszczeniu):

„Postanowiono:

Wezwać lud do unikania grzechów i ludzi występnych, ewentualnie zakupienia mszy.

Zobowiązać młodszego strażnika, by o każdym nowym przypadku zarazy zawiadamiał starszego strażnika.

Zobowiązać ludność Ulęgał, by pod karą rubla— zawiadamiała o każdym nowym przypadku zarazy młodszego strażnika.

Uznać za pożądane tępienie szczurów.

Uznać za niecierpiące zwłoki wywiercenie znacznej ilości studzien, postawienie szpitala dla dezynfekcji rzeczy po zmarłych na zarazę.

Z sumy czterdziestu sześciu rubli zakupić dziesięć sterylizowanych pieluch dla aseptyki dotkniętych zarazą noworodków w cenie przypuszczalnej trzy ruble kop ośmdziesiąt dwie za sztukę — i do zakupu upoważnić pisarza monopolowego.

Postawić nową latarnię przed fabryką musztardy, gdyż pod starą uczynił nieprzyzwoitość jeden z dotkniętych zarazą mieszkańców Ulęgał".

Kiedy naczelnik powiatu odczytał postanowienie, splunął z niechęcią, ale nie protestował: toć pieluchy z pewnością były już zakupione. Kiedy jednak w jakiś czas potem przeczytał w gazetach o nowem ministerjum — zdrowia publicznego, z ministrem, wice-ministrem i własną kancelarją, — ucieszył się serdecznie:

— Sławno, — szepnął zadowolony. — Ot, ciekawa rzecz, jakie tam będą etaty?

J. Korczak.

Zjawisko twórczości w sztuce.

Gdy człowiek, ogarniając myślą wszechświat, zechce przedstawić go sobie w pierwotnym chaosie—doznaje przedewszystkiem przygniatającego uczucia trwogi. Świadomość jego nie czuje się dobrze w absolutnym bezładzie. Instynktownie wyczuwa potrzebę ujęcia tych rozbieżnych wrażeń i pojęć w pewien ład, bowiem natura jego wprost nieświadomie dąży do harmonji. Więc mnogość narzucających się wrażeń stara się złączyć w jedno, z mnogości przedmiotów w przestrzeni wyprowadzić ich jedność, wszechświat cały stara się ująć w jedność praw. Widząc go harmonijnym, ma tem samem dla siebie samego oparcie.

Zaokrąglona linja horyntu daje mu wyobrażenie przeciętej półkuli, a jednocześnie stwarza to pojęcie łączności przedmiotów, które, zbiegając się wciąż ze sobą przez zaokrąglenie linji konturów zasadniczych, wytwarzają już samym charakterem linji niezbędną dla oka harmonję całości.

A w tem spontanicznem, objawiającem się na każdym kroku dążeniu do harmonji istnieje jednocześnie dążenie do realizacji pojęcia piękna.

W istocie, zasadniczem pojęciem dla piękna jest właśnie ujęcie harmonijne szczegółów, które podporządkowane idei głównej, zrozumiane w odnośnym do niej stosunku—dają całości wyraz skończony i doskonały. Tak w architekturze, jak i w rzeźbie i malarstwie zachowanie proporcji, wspólnego dla całości charakteru oraz harmonji—są nieodzownemi warunkami powstania dzieła sztuki. Pierwszy z nich—to jedność planów w budowie, stąd rodzi się jedność budowy, a stąd jedność stylowa całości. Bez tego warunku cała budowa rozpadłaby się na części, obce sobie wzajem, a stworzone wówczas dzieło stałoby się dla widza równie nużącem, jak nużącem było spojrzenie w pierwotny chaos wszechświata.

Każde zjawisko świata wywołuje w nas za pośrednictwem zmysłów głuchą, nieświadomą pracę mózgu po to, by od czasu do czasu rozbłysnąć niespodzianie świadomością zrodzonej myśli nowej. W dziedzinie nauki jest to rzuceniem śmiałej hipotezy, w sztuce— chwilą rodzącego się natchnienia twórcy. Tu jednak, jak i tam fakt jest ten sam: objaw twórczości jako spontaniczne dzieło przypadku powstałe nagle, a już w samem swem zrodzeniu podlegające prawu harmonji. Czyż bowiem narodziny idei twórczej lub powstanie hipotezy nie są uwarunkowane pracą mózgu, skierowaną w pierwszym swym impulsie do uporządkowania rozbieżnych, nurtujących nas myśli, które nas właśnie tem niepokoją, że są rozbieżne, czyż nie jest to pragnieniem odnalezienia owego punktu stycznego dla wszystkich poprzedzających?

Możnaby tu zaobserwować jakby podwójną pracę: od jedności zjawisk idziemy do ich różnorodności, a od ich różnorodności—do jedności, która je niejako koncentruje. Co znaczy w istocie poddać doświadczeniu hipotezę? To wyprowadzić wnioski poprzedzające, uzależnić od różnorodnych warunków i odnaleźć w nich konsekwencję. Czyli zbudować porządek realny na zasadzie idealnego, ustanowionego przez hipotezę.

W zjawisku artystycznem, twórczem podobnież znajdujemy częstokroć nieświadomie wprowadzoną sumę zjawisk poprzedzających i podobnież jak przy sprawdzeniu hipotezy następuje i tutaj przy ujęciu zjawiska w kształty realne praca uzależnienia zjawisk poprzednich od różnorodnych warunków i takie ujęcie idei rozbieżnych, by dzieło, zawierające je w sobie, przedstawiało harmonję jedności. Jedność w rożnorodności— oto na czem polega idea harmonji.

W dziele sztuki mamy zasze jedność idei, wyrażonej zapomocą jedności pierwiastków przy prostocie środków wykonawczych. Talent artysty polega tutaj na wydobyciu z pomocą owej prostoty całego bogactwa idei, by móc wyciągnąć jaknajwiększą różnorodność i dojść tą drogą do jedności wyższej. Problemat przedstawia się tutaj jakby odwrócony: w istocie jest tu to samo prawo subjektywne, ta sama po-

trzeba złączenia idei przez szersze jej rozwinięcie, też różnorodność życia przcz koncetrację.

Idźmy dalej.

Czem jest linja? jeśli nie syntezą punktów.

Czem liczba? jeśli nie syntezą jednostek.

Czem jest przedmiot? jeśli nie syntezą skoordynowanych wrażeń, czem znowu zespół przedmiotów, jeśli nie obrazem świata widzialnego, pierwszem w istocie arcydziełem gienjuszu, które żyje w człowieku.

Psycholog, przyjmując świat jako zespół naszych osobistych wrażeń, daje tym sposobem wytłumaczenie stosunku nas samych do otaczających przedmiotów.

Wychodząc z tego założenia, tak zapach róży, jak i dźwięk dzwonu — to jedynie właściwości, istniejące w stosunku do nas. Descartes mówi, iż jest takim samym błędem przypisywać wrażenie gorąca ogniowi, jak przypisywać szpilce wrażenie ukłucia, analogicznie do wrażenia, które odbieramy sami.

Nie dość na tem. Taż sama przyczyna, działając na różne zmysły, wytwarza odmienne odczuwania. W rzeczach zatem postrzegania danego zjawiska— wola, temperament, różna wrażliwość uczuciowa—grają zasadniczą rolę. Artysta bierze z natury to, co mu lepiej odpowiada, abstrahując od reszty. Ta dowolność wyboru pozwala mu traktować naturę jedynie jako przedmiot, z którego wyciąga motyw, odpowiadający jego własnej koncepcji. Jeden i tenże sam giest może być najróżnorodniejszym punktem wyjścia dla poszczególnych indywidualności. Inaczej na daną rzecz patrzy rzeźbiarz, inaczej znów malarz. Widzimy stąd, iż piękno przedmiotu nie jest bynajmniej objektywne i przywiązane do tego przedmiotu, lecz uzależnione od wrażliwości i siły wyczuwania widza. Ot dlaczego strona moralna lub pedagogiczna w jakimś motywie dla sztuki i piękna nie istnieje wcale.

Jeden i ten sam zespół wrażeń może temu samemu umysłowi suggestjonować odmienne i najzupełniej różnorodne postrzegania, zależnie od stosunku, jaki zachowamy pomiędzy niemi. Np. w widoku chmur, w tafli szklanej, zarysowanej przez mróz i szron, widzimy dowolnie to, co widzieć chcemy. Nawet w rzeczach takich, które przywykliśmy ujmować, zachowując narzucony nam zgóry punkt widzenia, jeśli punkt postrzegania dowolnie przeniesiemy, zobaczymy analogiczne z poprzedniem zjawisko: zwykły stosunek w zespole linji i barw, ulegając zmianie, przedstawi nam przedmiot zupełnie nowym, odmiennym. Jeśli np. spojrzymy na deseń tapet w pokoju, zapominając, że winny one przedstawiać jakieś pasy, kwiaty lub t. p.— zobaczymy wówczas kombinację rysunkową zupełnie dla nas nową i niezwykłą.

I tutaj zatem widzimy, jakim błędem jest identyfikowanie naszych wrażeń i przypisywanie ich jako właściwości przedmiotom.

Samo to słowo — *przedmiot* nie zawsze ma jedno znaczenie. Np. słowo *dom:* raz będzie duchowem wrażeniem czegoś przytulnego, co narzuca reminescencje rodziny; dla kogoś innego — zespołem plam barwnych; architekt pojęcie to ujmie zapewne w bardziej konkretną, określoną linjami figurę o pewnym stylu. Dziecko zaś, dla którego pojęcie to będzie najbardziej zbiorowem i ogólnem, rysując dom, da naiwną, niepozbawioną uroku syntezę prostokąta o zbiegających się w górze linjach dachu, nie zapominając nigdy o symbolicznej ozdobie dymu z komina, który, półkolem otaczając rysunek, zamknie go nierzadko przedziwnie pięknie, każąc nam podziwiać istniejący zmysł estetyczny małego twórcy.

Jak widzimy *słowo*—to ekiwok wieloznaczny. Biorąc je, choćby w najogólniejszem znaczeniu, wyabstrahować najzupełniej od całej psychologicznej treści własnej osobistości nie możemy. Te narzucone, symboliczne znaki nie mają w sobie nic, coby samo przez się budziło w nas świadomość istnienia danego przedmiotu, nie są z nim gienetycznie związane. Jeśli w jakimś umarłym języku odkryjemy słowo, którego znaczenie jest całkowicie dla nas nieznane, wówczas nic nie zdoła obudzić w nas świadomości przedmiotu, do którego było przywiązane.

(d. n.) W. Kiślańska

Krytyka i sprawozdania.

Wojna Moskiewska. *)

Dwie pierwsze serje Szkiców Historycznych Kubali doczekały się czwartego wydania. Świadczy to o ich niezwykłej, jak na książki treści historycznej, poczytności. Jednocześnie wypuścił zasłużony historyk XVII st. nową serję Szkiców, któremi zapoczątkował Historję Siedmioletniej Wojny Północnej; pierwszy ich tom objął dzieje wojny moskiewskiej z lat 1654 i 1655. Dzieje te przez historyków niemal pomijane, a jednak niezwykle ciekawe ze względu i na charakterystykę epoki ówczesnej i na doniosłe ich skutki, które odczuwała boleśnie Rzeczpospolita aż do swego upadku. „Wojna Moskiewska" pod względem metody badania, budowy nie ma nic wspólnego z monografją historyczną o znaczeniu współczesnym, lecz przedstawia typowe Szkice. Jest ich dziesięć, a każdy przenosi nas na inne terytorjum, do różnych środowisk, każdy ujmuje całkowicie pewien moment dziejowy; złączone zaś są wspólną nicią chronologiczną oraz nieuwypukloną wprawdzie przez autora, ale wypływającą z faktów samych ideą przyczynowości. Materjał bogaty, czerpany przeważnie ze źródeł rękopiśmiennych, zużytkowany w znacznej części poraz pierwszy, krytycznie, umiejętnie, przedstawiony jednak niemal in crudo, tak dalece, że ogromna część książki ujęta została w cudzysłów. Ma to zarówno dla historyka jak i dla czytelnika niefachowego ujemne i dodatnie strony; historyk danego momentu czerpać może ze Szkiców mnóstwo szczegółów ważnych, bezpośrednio ze źródeł wyjętych, nie znajdzie jednak pogłębionego przez próbę choćby syntezy poglądu ogólnego, pełnej charakterystyki epoki; są tu poszczególne obrazy, którym brak wspólnego tła, które jednolitej całości nie tworzą; są to raczej kamyczki, przeważnie cenne, z których przyszły dopiero historyk ułoży artystyczną mozaikę. Ten sam zarzut postawi autorowi zwykły czytelnik, którego nawał szczegółów nuży niekiedy, a jednak pomimo to książka będzie napewno poczytna, jak i dwie serje poprzednie wśród szerokich warstw, dlatego, że te rozsypane przeważnie kamyczki są niezwykle barwne, umiejętnie wybrane, że tworzą one zresztą poszczególne obrazki niezwykle malownicze i charakterystyczne.

Naogół treść dziejowa dwu lat, któremi się autor zajmuje, cieszy się wśród naszego społeczeństwa czytającego dużą popularnością; pochodzi to przeważnie z żywości, niesłychanej rozmaitości akcji, zwłaszcza wojennej, okresu „Potopu", „Ogniem i mieczem"; a dalej na wyobraźnię ludzką działają, w pamięć wrażają się szczególniej takie postaci jak Chmielnickiego i jego pułkowników, Radziwiłłów i t. p. Trudno jednak niezmiernie ludziom współczesnym o sąd sprawiedliwy o jednostkach i grupach z owych czasów

*) Dr. L. Kubala. Szkice historyczne. Serja III Wojna Moskiewska (R. 1654—1655). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków G. Geb. i Sp. R. 1910. str. 443. Cena 2 rb. 40 kop.

i o ich działaniach. Taka postać Chmielnickiego jakże różnie dzisiaj jest rysowaną przez historyków; dość porównać sąd o nim historyka polskiego Rawity-Gawrońskiego i dziejopisarza ruskiego Hruszewskiego (prof. uniw. lw.)—dwa bieguny; i oto, jakgdyby ogniwo pośrednie, daje Kubala charakterystykę niezwykłego, jedynego może w dziejach hetmana, zbliżając się najwięcej do rzeczywistości. „I nie rozumię, żeby to dziś leżało w naszym interesie obniżać i lekceważyć pamięć człowieka, któremuśmy rady dać nie mogli, kiedyśmy byli potężni i który nam jeszcze z grobu grozi", powiada słusznie autor i dalej wskazuje na ciężkie warunki, w których Chmielnicki działał, na trudne zadanie, jakiego się podjął; na tem tle dopiero rysuje postać hetmana, o którym powiada, że „przerastał ludzi wysoko uzdolnionych do tego stopnia, że wkraczał w dziedziny niepochwytne", „że urodził się władcą", „dziki sprawca opatrznościowy"; odznaczała go „wszędzie potężna wola i żelazna ręka".

W podobnie bezstronny sposób i dość różnostronny charakteryzuje pułkowników Chmielnickiego i ogół kozacki.

A z drugiej strony spotykamy też samą odwagę bezstronności w obrazach z życia społecz. polskiego i litewskiego, czy to w opowiadaniu o sejmie warszawskim, o intrygach dworskich, o drugiem „liberum veto", czy o walce króla z Radziwiłłem, o właściwej wojnie moskiewskiej, prowadzonej z najwyższą niedbałością, tchórzostwem, przetkanej egoizmem szlacheckim, prywatą, zdradą. Rozkład społeczeństwa szlacheckiego widoczny we wszelkich dziedzinach życia, których autor się dotknął; zdarzają się jednostki mocne, jędrne, ale żywotność ich rozłazi się w bagnie ogólnem życia publicznego.

Nieszczęśliwe dwa lata dziejów Rzeczypospolitej szlacheckiej kończą się utratą przeważnej części Małej i Białej Rusi, utratą dawnych niezwykle silnych i żywotnych wpływów kulturalnych Polski na Wschodzie, a zapoczątkowują potęgę mocarstwa, któremu Polska wkrótce będzie musiała oddać dotychczasowe swe panowanie w Europie wschodniej, zaś po upływie kilkunastu lat dziesiątków terytorjum ludów złączonych i swoje własne, wraz z sercem państwa Warszawą.

Na skutek bezpośredniego stosunku autora do źródeł przeważnie współczesnych wypadkom, tło zdarzeń opowiadanych przedstawia się równie barwnie jak i wypadki same; spotykamy mnóstwo rozsianych szczegółów obyczajowych, faktów drobnych podrzędnej wagi dla ogólnego biegu dziejów, ale niezmiernie charakterystycznych i dla epoki, i dla terytorjum i dla stanu, plemienia lub narodu, a więc wiele pobocznych rysów z życia możnowładztwa i szlachty polskiej, litewskiej i ruskiej, bojarów moskiewskich, tatarów i turków i w stanie pokojowym i na wojnie, jako zdradnych sojuszników i jako wrogów barbarzyńskich, wreszcie kozaków i wogóle ludu ruskiego. Przerażająco krwawe obrazy, okrucieństwo, przedajność, zdrada, chciwość, gdzieniegdzie bohaterstwo; a wszystko rysowane środkami prostemi, nie formą lecz treścią samą wywołujące uczucia przedewszystkiem grozy, często obrzydzenie, przeważnie jednak wrażenia silne, które sprawiają, że pomimo nagromadzenia mnóstwa szczegółów najrozmaitszych szkicowo luźno powiązanych, Szkice historyczne czyta się z dużem zainteresowaniem.

N-G.

Ex America lux!

(Ellick Morn „Zbudź się i walcz." „Sztuka odnawiania duszy i ciała." Przekład Wł. M. Kozłowskiego, wydawnictwo M. Arcta w Warszawie 1911).

Od niejakiego czasu rynek nasz księgarski, dotychczas tak niezasobny w dzieła naukowe, zaczął się roić od rozmaitych „nowości", „najśmielszych słów nauki", gorliwie zalecanych przez prasę codzienną, popieranych przez różne „autorytety". „Nowości" te pod specjalną opaską, zawierającą wrażenia osobiste i orzeczenia rozmaitych znakomitości, ukazują się niekiedy jednocześnie aż w kilku wydaniach, jak „Przeciw śmierci" Prentice Mulforda — rzecz niesłychana w naszej literaturze naukowej. Okoliczność ta upoważniałaby może skądinąd do optymistycznego poglądu na rozwój i stan współczesny naszej umysłowości społecznej, gdyby nie to, że owem niesłychanem powodzeniem cieszą się właśnie nowości „filozoficzne" i „psychologiczne" stemplem amerykańskim opatrzone, tymczasem dzieła przedwcześnie zgasłego Lewkowicza spoczywają sobie spokojnie na półkach księgarskich, dzieląc zresztą losy „Przeglądu Filozoficznego", najnowszych prac Biegańskiego i Borowskiego i wielu innych filozofów i psychologów...

O amerykańskiej umysłowości wyrobiliśmy sobie dotychczas pewne określone pojęcie: sądziliśmy, że poza takiemi instytucjami, jak „Smithsonian-Institution", jak „Harvard-University" niema jakiejś innej specjalnej „nauki" amerykańskiej, że poza I. M. Baldwinem i Williamem Jamesem niema myślicieli amerykańskich, z któremi należałoby się liczyć i poglądy ich brać na serjo i rozważać. Mogliśmy się wprawdzie nie zgadzać z „pragmatyzmem" Jamesa, z jego probierzem doświadczenia, z „rzeczywistością" doświadczenia religijnego, niepodobna jednak zaprzeczyć, że pogląd ten pobudził myśl do pracy w pewnym kierunku, że wniósł pewne ożywienie i wywołał rzeczową dyskusję tak samo, jak w swoim czasie poglądy neokantystów, które zwróciły umysły współczesne w kierunku zagadnień teoretyczno-poznawczych. Cóż jednak mamy sądzić o „nowych ludziach", co przychodzą z radosną wieścią odnowienia duszy i ciała, przemawiając językiem proroczym, „ewangielicznym", a jednocześnie zapewniając solennie o swej ścisłej „naukowości" i gwoli jej poparciu sypiąc na prawo i na lewo cytaty z dzieł wielkich myślicieli i uczonych? Czy mamy tu do czynienia z nową ewangielją, co tym razem przychodzi z zachodu, czy też z dziełem istotnie naukowem?

Wystarcza przerzucić kilka stronic książki p. Ellick Morna, aby się przekonać nietylko o jej istotnej wartości, ale i o tem również, jakiego czytelnika miał autor na myśli, pisząc swe dzieło. Oczywiście nie takiego, jakiego sobie ongi życzył Goethe — zaabsorbowanego całkowicie przez twórczość autora, czytelnika — współtwórcy, — jeno tego dzisiejszego „homeopatycznego", co przyzwyczajony do migotliwych ruchów tłumów ulicznych, do pstrokacizny „wydarzeń" kurjerkowych, tysięcy szyldów, reklam i ogłoszeń, zepsuty przez udostępnienie wszelakich przeżyć duchowych, wymaga tegoż i od nauki—mikroskopijnych dawek filozofji, nieco mistycyzmu, nieco religji— wszystko obficie okraszone mdłą „poezją", milutko zaokrąglone i wypolerowane, „odrazu" zrozumiałe, nie wymagające zbytniego natężenia umysłu. „Filozofja", „psychologja", i „socjologja" p. Lutosławskiego, pod niebiosa zachwalana przez kurjerki i tygodniki ilustrowane i nieilustrowane, jest jeszcze zbyt „ciemna", „zbyt mistyczna" dla takiego czytelnika — trochę mistycyzmu nie zaszkodzi, owszem, jest to nawet dziś w modzie, byle nie „przesolić." Bodaj to tacy fran-

cuzi i amerykanie — niezrównani wulgaryzatorowie, przepraszam!—popularyzatorowie wiedzy, magowie, co w kilku wierszach załatwiają się zręcznie, a elegancko z najtrudniejszemi zagadnieniami, trapiącemi od wieków ludzkość; bodaj to niezrównany p. Finot autor równie poczytnej „Filozofji długiego życia", na którego z takiem upodobaniem powołuje się p. Morn, dowodzący nieśmiertelności ciała na tej podstawie, że... po śmierci stanie się ono środkiem nowego życia, czyli poprostu łupem robactwa, które się w niem lęgnąć i rozwijać będzie! P. Morn wprawdzie nie rości tak wielkich pretensji, chce on jeno obudzić śpiącą duszę ludzką, tę duszę współczesną, co „niema pełnego poczucia życia" i cierpi na bezwład woli. „Dusza" ta, sądząc z określeń samego autora, ma wszelkie cechy przynależności do pewnej klasy społecznej, albowiem, nie uznając w życiu żadnego związku logicznego, nie stosując życia swego do jakichkolwiek nakazów moralnych, dochodzi do wniosku, że „postępowanie nasze powinno być samowolne, fantastyczne, pozbawione związku i zasady", że wobec tego jedynie racjonalną jest filozofja użycia — „używajmy wszystkiego, czego tylko użyć możemy: wina, kobiet, bogactwa; zapomnijmy o życiu, topiąc się w rozkoszach." Oto dusza, jaką obdarzony jest czytelnik, którego ma p. Morn na myśli—„dusza", której zaufanie pozyskać może każdy, co ją zapewni, że może „budzić się jutro, kiedy zechce" i „odzyskać olbrzymie energje, utajone w jej głębi"; każdy, co szaty mędrca na się wdziawszy, „wielkim głosem" zawoła: „Wiedza porzuciła swoje okowy materjalistyczne i zrozumiała wreszcie, że materja nie może już być nadal jedynem naszem bóstwem, że są jeszcze prawdy poza zakresem wzorów chemicznych i mechaniki powszechnej"!

„Jakaż to wiedza?" zapyta czytelnik, obeznany jako tako ze stanem umysłowości współczesnej, sądzący w prostocie ducha swego, że cała wiedza dzisiejsza przesiąknięta jest duchem materjalistycznym i na metodach materjalistycznych wsparta,—„czy ta, której przedstawicielami są w dziedzinie przyrodoznawstwa Haeckel, Mach, Verworn, w dziedzinie psychologji—Ribot, Binet, Höffding, Störring, James, czy też jakaś *inna* wiedza, licząca w swych szeregach pp. Mulfordów i Mornów, oraz owych słynnych lekarzy amerykańskich, co to w Bostonie zdołali określić wagę duszy ludzkiej [1])? P. Morn atoli, nie zwracając najmniejszej uwagi na te mogące się nasunąć wątpliwości, ciągnie jednym tchem dalej: „Wiedza zrozumiała dowody idealizmu; to jest przyczyna, dla której może teraz dać nam przyrzeczenie, które w pierwszej chwili wydawało się bezwstydnem kłamstwem na jej ustach (co za poufałość!)... teraz... widzimy największych przedstawicieli tej wiedzy, która już była pozytywną, a przynajmniej taką się nazywała, otwierających objęcia tryumfującemu idealizmowi"... Skoro to wszystko ma się rzeczywiście stosować do tej „urzędowej" wiedzy współczesnej, to pragnęlibyśmy jakichś dowodów miast gołosłownych twierdzeń, zapewniających, że „wiedza porzuciła swe okowy materjalistyczne." „Homeopatyczny" czytelnik jednak nie potrzebuje ciężkiego bagażu naukowego—poco zbytnio mózg obciążać, — a więc usłużny i przezorny zarazem „dostawca Jej Królewskiej Mości Publiczności" woli, jak sam powiada, „trzymać się zdala od wszelkiej subtelnej dyskusji naukowej i od wszelkich wybryków filozoficznych lub teoretycznych"—tej ostatniej obietnicy—powiedzmy nawiasem — p. Morn nie dotrzymuje, posuwając owe „wybryki" do ostatecznych granic. Porzucając „subtelności rozróżnień psychologicznych", prawi niestworzone rzeczy o dobroczynnem działaniu „sił kryptopsychicznych", którym każe zmieniać charaktery ludzkie, odradzać „uśpioną" młodzież, odmładzać starców.

(d. n.) S. Rudniański.

[1]) Aby czytelnicy nie sądzili, że jest to tylko pospolity humbug amerykański, muszę przytoczyć wiadomość, podaną w swoim czasie przez „Daily Telegraph" i przyjętą całkiem serjo przez wszystkie inne gazety angielskie, amerykańskie i niektóre pisma niemieckie, głoszącą, co następuje: „W Bostonie, który jest ośrodkiem oświaty i nauki, cieszącym się wielkiem poważaniem w stanach Zjednoczonych, ogłaszają lekarze w osobie swego męża zaufania, O.-V. Duncan Macdougalla, iż z powagą i sumiennie dokonali swego badania, aby stwierdzić czy dusza istnieje w ciele ludzkiem czy też nie i czy wyjściu duszy z ludzkiego ciała towarzyszy jakiś przejaw jej istoty, który mógłby być oczywistym dla zmysłów materjalnych. Ostateczny rezultat stanowi wniosek, że dusza ludzka waży około jednej uncji." Nieprawdaż, ciekawy dokument XX-go wieku, który odtąd zwać się będzie „wiekiem zważenia duszy ludzkiej", tak samo, jak XIX-ty — „wiekiem pary i elektryczności."?

Jubileusz Limanowskiego.

W niedzielę obchodzono w Krakowie 50-lecie pracy pisarskiej i jednocześnie 75-letnią rocznicę urodzin Bolesława Limanowskiego. Nawet uczczenie tego działacza nie odbyło się bez trudności. Wiadomo, że stańczykowsko-wszechpolska klika, rządząca w Galicji, zagroziła wydaleniem Bolesławowi Limanowskiemu, jeśli nie uchyli się od przyjęcia hołdu, składanego przez stronnictwa robotnicze i demokrację mieszczańską. Dopiero starania posłów socjalistycznych... w Wiedniu umożliwiły święcenie zasług pisarza i obywatela.

Bolesław Limanowski urodził się w r. 1835 w majątku Podgórzu na Inflantach. Odbył nauki gimnazjalne i uniwersyteckie w Moskwie. W tym właśnie okresie, Limanowski przejmuje się światopoglądem skrajnie lewicowym, któremu wierny pozostaje do dnia dzisiejszego. W r. 1860 wyjeżdża do Paryża, wstępuje do szkoły wojskowej Mierosławskiego, w następnym zaś roku wraca do kraju, by wziąć udział w działalności spiskowej, przygotowującej rok 1863. Wkrótce jednak zostaje uwięziony i zesłany do Archangielska. Po siedmiu latach wygnania na mocy amnestji wraca do kraju. Wyzwoliwszy się z niedoli tułacza, popada w Warszawie w niedolę nędzarza. Niebawem wstępuje jako robotnik do jednej z fabryk warszawskich.

W początkach siódmego lat dziesiątka Bol. Limanowski osiada we Lwowie. Rozpoczyna tu działalność odczytową i pisarską, ożywioną duchem ideologji robotniczej. Tworzy ośrodki pracy ideowej, które stanowią niejako zawiązek przyszłych organizacji. Prześladowania ze strony policji austrjackiej kładą kres pracy Limanowskiego w Galicji. Wydalony ze Lwowa, „niedogodny cudzoziemiec" przenosi się za granicę w 1878 r. Odtąd rozpoczyna się dla Bolesława Limanowskiego okres srogiej i dokuczliwej tułaczki, pełnej zawodów i niedostatku. Pomimo ciężkich warunków walki o najskromniejszą egzystencję, z pod pióra Limanowskiego wychodzą liczne prace naukowe i publicystyczne. Z dzieł wymienić należy tu „Historję ruchu społecznego w wieku XIX", „Rok 1863", „Historję demokracji polskiej", „Historję Litwy" W roku zaś bieżącym nakładem „Książki" krakowskiej wyszło dzieło Bol. Limanowskiego p. n. „Stanisław Worcell", napisane na podstawie bogatego materjału historycznego (omówione obszerniej w № 40 „Społeczeństwa").

Pomimo przeszkód, pomimo groźby wydalenia Limanowskiego z Krakowa po 28-letniej tułaczce — obchód odbył się jednakże i stał się wyrazem głębokiego hołdu i czci dla nieugiętego starca.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

Darwinizm a wiedza współczesna. (Praca zbiorowa). Nakładem Henryka Lindenfelda. Warszawa 1910. G. Centnerszer i S-ka.
Mieczysław Szerer: Kara (szkic socjologiczny). Kraków 1910. Gebethner i S-ka.
Tadeusz Dybczyński: Wiadomości początkowe z paleontologji, z rysunkami
Bogdan Nawroczyński: Mikołaj Kopernik. Warszawa 1910. Nakł. M. Arcta. (Książki dla wszystkich).
Werner Sombart: Żydzi a spółczesna gospodarka społeczna. Warszawa 1911. Skład głów. w ks. Gebethnera i Wolffa.
Leo Belmont: Czego nie wiecie o waszych mężach?
Leo Belmont: Jak zrobić pieniądze? Warszawa 1910. Nakł. „Wolnego Słowa" skł. głów. u Gebethnera i Wolffa.
Edourd Bogusławski: La société et la civilisation. Paris 1910.
Karol Gide: Rozwój instytucji społecznych w ciągu XX stul. Warszawa 1910. Nakładem „Prawdy."
Bronisława Bobrowska: Jak powstały religje? Kraków, nakład. wydaw. „Życie" skł. głów. w Warszawie: G. Centnerszwer i S-ka.
Ludwik Glatman: Wielka Wojna. Warszawa. Nakładem M. Arcta.
Eugenja Lublinerowa: Szkoła dla dzieci niedorozwiniętych. Warszawa 1910, (odbitka z № 8 „Zdrowia").
Dr. Ignacy Szmidt: Współczesna kwestja religijna i modernizm. Warszawa.
„Pomoc Bratnia" w Zakopanem: „Jubileuszowe sprawozdanie."
Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza *„Pod znakiem poetów"*:
Juljusz Słowacki: Utwory liryczne (wybór i układ Stan. Wyrzykowskiego). Warszawa 1910.
Liryka Francuska (serja I) przekłady Bronisławy Ostrowskiej. Warszawa 1911.
Bolesław Prus: Faraon (Siódmy tysiąc) 3 tomy. Warszawa 1910. Nakładem Gebethnera i Wolffa.
Jan Lemański: Noc i dzień, Warszawa 1911. Gebethner i Wolff.
Jan Lemański: Baśń o prawdzie. Warszawa 1910. Skł. głów. w księg. E. Wende i S-ka.
Gabryela Zapolska: Śmierć Felicjana Dulskiego. Warszawa 1911, Gebethner i Wolff.
A. Kallas: On i oni wszyscy. Warszawa 1910. Skł. głów. w księg. E. Wende i S-ka.
Zofja Rogoszówna: Pisklęta. Kraków. Spółka zakładowa „Książka", skł. głów. w Warszawie: Gebethner i S-ka.
Prentice Mulford: Niewyzyskane siły życia. Warszawa, wydawn. M. Arcta.
Stanisław Przybyszewski: Gody życia (dramat), Warszawa 1911, skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa.
Helena Mniszek: Trędowata II tomy, wydanie II, Kijów 1911 r. Nakładem Leona Idzikowskiego.

KRONIKA.

— Kary prasowe: Redakcja „Ziemi Lubelskiej" została skazana w drodze administracyjnej na zapłacenie 50 i 300 rubli kary.

Redakcję gazety „Wiadomości Codzienne" skazano na 25 rb. kary.

Redakcję „Frajnda" na 300 rb. za dwa artykuły.

Redakcja petersburskiego czasopisma „Prawo" skazana została na zapłacenie 300 rb. kary za artykuł „Kara śmierci w 1910 r."

Redaktor gazety „Tulskaja Mołwa" skazany został przez gubernatora na 3 miesiące więzienia za artykuł „Wrażenia parlamentarne."

— Strejk w fabryce warszawskiej „Wulkan" trwa ósmy tydzień. Zarząd fabryki jest nadal nieugięty. Robotnicy domagają się sądu rozjemczego.

— W sądzie wojennym w Irkucku rozpatrywano sprawę 14 osób, oskarżonych o należenie do partji socjalno-demokratycznej. Jeden podsądny skazany został na 6 lat robót ciężkich, troje na zesłanie, 11 zaś uniewinniono.

— W ubiegłą środę, jako w rocznicę stracenia Bałmaszewa, w uniwersytecie kijowskim zebrana licznie studenterja zaintonowała pieśń p. n. „Wiecznaja Pamiat'." Grupa studentów „prawdziwych rosjan" zaprotestowała przeciw uczczeniu pamięci studenta tegoż uniwersytetu, wskutek czego wynikła walka Sprowadzono policję.

W Petersburgu i Moskwie młodzież uniwersytecka chcąc uczcić pamięć Lwa Tołstoja wyruszyła demonstracyjnym pochodem. Żandarmerja i policja rozpędziły studentów.

— W politechnice i uniwersytecie warszawskim odbyły się wiece z powodu śmierci Lwa Tołstoja. We środę studenci zebrali się na Krakowskiem Przedmieściu w znacznej liczbie, chcąc pochodem wyruszyć na miasto. Policja i żandarmerja uniemożliwiła demonstrację.

— Sąd okręgowy w Petersburgu uniewinnił stójkowego Efimowa, uskarżonego o pobicie posła do Izby Państwowej, Siedielnikowa. Podsądny tłumaczył się, że bijąc Siedielnikowa przypuszczał, że ma do czynienia ze zwyczajnym robotnikiem, ale nie posłem.

Redaktor i wydawca Dr. J. M. Muszkowski. Drukarnia Artystyczna K. Kopytowski i S-ka Nowy-Świat 47.